

Ludwika Kaczmarek

ZUPA Z ROBAKAMI

Godzina druga w nocy. Na obiad zupa pomidorowa z robakami. Cicho wyciągam garnek z lodówki, starając się nie obudzić nikogo. Lancetowate, białe glizdy pływają w czerwonym płynie – miękkie i bez smaku, a zupa zbyt słona. Rozbieram się do bielizny, zostawiając rondel na stole, a koszulkę i krótkie spodenki wrzucam do środka. Obserwuję, jak biały materiał nasiąka cieczą, wyobrażając sobie rumiankowe pole, na którym pada krwawy deszcz, barwiący kwiaty na ciemny bordowy. Na ubraniach zostają plamy; zupy było za mało, a może ubrania były za duże, by całkowicie przesiąkły. Bez znaczenia.

Otwieram drzwi i wychodzę na zewnątrz. Zimny wiatr rozwiewa moje włosy, które przyklejają się do wilgotnych i spierzchniętych ust, co mnie denerwuje. Idę na środek ogrodu, czując, jak skóra pęka na bosych stopach. Kładę się w puchatym śniegu, niemal całkowicie w nim tonąc. Obserwuję gwiazdy i zastanawiam się, czy na innych planetach również jedzą zupę z robakami, czy są na tyle rozwinięci, aby tego nie robić, lub na tyle głupi, by zadowolić się samą zupą albo tylko glizdami. Od nadmiaru myśli zaczyna mnie boleć głowa. Bezkręgosłup jest dla mnie niepojęty. Może ktoś potrafi sobie to wyobrazić – nie każdy je zupę z robakami. Trzęsę się z zimna. Nie mam ubrań, zostały w obiedzie.

Poprawiam się do pozycji siedzącej, a moje niemal nagie ciało przypomina różaną wysypkę. Wiatr ponownie inicjuje spotkanie warg z kępką włosów. Wracam do domu. Drzwi zostawiam otwarte na oścież. Przepływa przeze mnie przyjemne ciepło, a palców u stóp nie czuję. Idę do łazienki, wyciągam nożyczki z szuflady i obcinam irytujące mnie kudły. Zadowolona patrzę w lustro, na umywalkę i podłogę, długie włosy są wszędzie, tylko nie na mojej głowie. Uśmiecham się. Wracam na dwór. Staję na chodniku i czekam. Drzewa szumią, słyszę świst. Wygrałam, nic nie przykleja się do mojej twarzy. Wiatr ustaje, prawdopodobnie zawiedziony swoją porażką. Mogłam uciąć wargi, zamiast włosów. Skutek byłby identyczny. Czegokolwiek bym nie zrobiła, wygrałabym. Oszepecona i szczęśliwa, przynajmniej dopóki pokonanie żywiołu będzie miało dla mnie jakąś wartość. Chwilę później czuję spadek emocji, dopaminy. Nienawidzę siebie, swojego wyglądu. Przynajmniej wygrałam. To bez znaczenia.

Budzę się, siadam na łóżku, kicham. Raz, drugi, trzeci. Chcę złapać za koszulkę, aby wydmuchać nos. Nie mam jej. Na moich ramionach dwa siniaki. Jeden wygląda jak fioletowa galaktyka, a drugi jak brązowy kleks. Nie wiem skąd się wzięły. Przyglądam się im, dotykam, czuję ból. Naciskam mocniej. Mocniej, mocniej i długo, aż mi się nie znudzi. Sine miejsca pulsują. Coś wypływa z dziurki od nosa, łaskocze mnie w usta. Gdybym je wczoraj ucięła, nie byłoby problemu. Łaskotałoby mnie coś innego, bez sensu, nie ma dobrego rozwiązania. Przecieram nos dłonią, śliska ciecz, wycieram ją w pościel. Siedzę w ciszy i zdaję sobie sprawę, że na coś czekam. Jak zawsze. Zawsze na coś czekam, tylko nie wiem na co. Nieistotne.

Wstaję, przekręcam gałkę od drzwi i wychodzę. Nie zamykam wejścia, nigdy. Ktoś wiecznie robi to za mnie. Nie wiem kto. Denerwuje mnie to. Chcę je wyrwać z zawiasów, jednak wtedy nie mogłabym ich nie zamykać i chciałabym je wstawić z powrotem. Nie ma dobrego rozwiązania. Na korytarzu jest zimno, schodzę po schodach. Ponownie kicham. Zatrzymuję się na półpiętrze, zapalam światło i wchodzę do łazienki. Widok w lustrze przykuwa moją uwagę. Wyglądam jak mój drugi siniak. Wszędzie leżą włosy. Łzy zbierają w moich oczach. Składam dłoń w pięść i uderzam w szkło. Na podłogę lecą ostre odłamki, moje kostki krwawią obficie, płyn kapie na ziemię. Obrzydliwa, rozcięta skóra. Obrzydliwa twarz. Nie mogę na siebie patrzeć. Nie chcę widzieć swojego odbicia. Chwytam za papier toaletowy, wycieram nos, dłonie. Patrzę na mieniające się jak gwiazdy drobinki lustra. Zginam kolana i skaczę na sam ich środek. Ponawiam tę czynność kilka razy, aż ból przestaje być przyjemny. Wychodzę, a szkło wbija się coraz głębiej. Zostawiam krwawe ślady na podłodze.

Mroźny podmuch wiatru wita mnie, kiedy przechodzę obok drzwi wejściowych. Obrzucam go triumfalnym spojrzeniem i ruszam do kuchni. Garnek z moim przesiąkniętym zupą z robakami ubraniem wciąż tam stoi. Zastanawiam się, dlaczego nikt go nie schował. Jest widno, czyżby wszyscy jeszcze spali? Wyciągam koszulkę, rozkładam, trzępię i zakładam na siebie. To samo robię z krótkimi spodenkami. Nie robi mi się ciepło. Kicham. Wycieram nos w bluzkę, na której trzymają się przyschnięte glizdy. Na parapecie leżą pomidory, w połowie czerwone, w połowie zielone z białymi elementami. Nie pamiętam jaki odcień sygnalizował dojrzałość owocu. Jest zima, kto trzyma niedojrzałe pomidory na parapecie. Chwytam jednego, jest miękki i rozpada się w dłoniach, wycieka sok. Oblizuję palce ze słodkiej cieczy. Dojrzały. Nie czuję głodu, jednak zjadam go całego. Z kostek wciąż wypływa krew, druga ręka klei się od lepkiej substancji, a poranione stopy nie pozwalają na normalny chód. Zerkam na gazetę, leżącą na stole. Litera są rozmazane, ktoś wylał na nią wodę, nie jestem w stanie ich rozczytać. Nic z tym nie zrobię.

Telewizor nie działa, naciskam wszystkie możliwe przyciski na pilocie, nic, cisza. Postanawiam obudzić rodziców, to w końcu ich dom, dlaczego miałyby ich tu nie być. Wracam na górę, zaglądam do każdego pomieszczenia. Numery na zegarach są zniekształcone, rozmyte, na nie również ktoś musiał wylać wodę. Wczoraj były

normalne. Nie wiem która godzina. Matki i ojca nie ma w domu. Kto zamyka drzwi? Nieważne.

Wychodzę na dwór, aby poszukać ich gdzieś indziej. Staję przed furtką. Słyszę dźwięki przejeżdżających przez ulicę aut, jednak ich nie widzę. Skoro ich nie widzę, to znaczy, że ich nie ma. Próbuję otworzyć bramę, ani drgnie. Szarpię ją i nagle ustępuje. Słyszę jakiś alarm, syrenę. Wchodzę na asfalt. Pisk opon, zaraz huk. Muszę zatkać uszy. Przyciskam do nich dłonie. Robię to mocniej, aż dźwięki nie ustaną, ale nie ustają. Coś krzyczy ciągle, zaczyna wyć. Nic nie widzę. Idę przed siebie, więcej krzyków. Czuję mocny ucisk na ramieniu.

Jedziemy stałą trasą. Przejeżdżamy przez ulicę Kazimierza Przerwy-Tetmajera, zaraz będzie Słowackiego, a następnie Piękna. Te same domy. Mam wrażenie, że nawet ludzie się nie zmieniają, że tkwią w miejscu i ruszają się tylko wtedy, kiedy na nich spojrzę. Są nakręcanymi lalkami, aktywowanymi moim wzrokiem. Żyję w symulacji, jestem głównym bohaterem kiepskiego filmu z ukrytą kamerą. Całe moje życie to wyreżyserowany kit. Monotonność mnie przerasta, a że nie ja jestem reżyserem, to nie mogę tego zmienić. Może to ja jestem kukielką, przez co nie mam własnej woli. Gdybym ją miał, nie byłoby sprawy. Tu tkwi problem, nie jestem reżyserem, nie mam na to wpływu, nic nie muszę zmieniać. Wygodna wymówka.

Wzdycham, a mój towarzysz obrzuca mnie ciekawskim spojrzeniem. Głupia kukła. To on jest lalką, czy ja. Gdybym go podpalił, prawda wyszłaby na jaw. Szybciej pali się mięso czy drewno? Muszę to sprawdzić przed potraktowaniem go ogniem, abym nie wyciągnął fałszywych wniosków.

– Znużony? – pyta. Co to znaczy? Nie jestem tylko zmęczony, nie jestem śpiący. Nie wiem, czym, dlaczego i po co w ogóle jestem. Nie ma mnie. Nie odpowiadam, może zapomni o moim istnieniu.

– Słyszysz mnie? – ponownie zagaduje. Któreś z nas jest tylko głupią kukłą. Bez względu na to, czy to jestem ja, czy on i czy którekolwiek z nas o tym wie, nie musimy ze sobą rozmawiać.

– Zamknij się, Bob – odpowiadam. Widzę jak jego ciało drga lekko, a usta otwierają się bezgłośnie i zaraz zamykają. Nic nie mówi bo go zatkało. Gdyby to on był reżyserem, wiedziałby, co się stanie i nie byłby skonsternowany pierwszymi słowami, jakie wyszły dzisiaj z moich ust. Może jest właśnie odwrotnie. Wie, co się miało wydarzyć i udaje, aby zachować pozory. Jest kłamcą albo ignorantem, a wszystko by się okazało, gdybym tylko go podpalił. Swędzi mnie noga, ale przez niewygodny, gruby mundur nie mogę się podrapać. Zaraz zacznę wrzeszczeć. Wiercę się i przeszukuję kieszenie. Następnie wszystkie skrytki w aucie. Nie ma.

– Szukasz czegoś? – nieśmiało odzywa się Bob. Patrzy na mnie z ukosa, a ja udaję, że tego nie widzę.

– Tak – rzucam. W końcu mogłem przeczesywać wszystkie możliwe schowki i kieszenie w zupełnie innym celu, niż znalezienie czegoś. To on jest idiotą czy ja? Może w jego dzisiejszym scenariuszu było, aby mnie rozwścieczyć.

Mijamy niebieski znak drogowy – Ul. Piękna.

Niesamowicie paskudna ulica Piękna. Rzygać mi się chce, a nazwa przyprawia o dreszcze. Bob patrzy na mnie, zaraz na drogę i znowu na mnie. Czeką, jakbym miał mu do powiedzenia coś jeszcze. Niech się cieszy, że mu w ogóle odpowiedziałem.

– Czego takiego szukasz? – pyta powoli, jakby to, że powinienem go o tym poinformować sam z siebie było najlogiczniejszą rzeczą na świecie. Jeżeli o logice mowa, skoro odpowiadam zdawkowo na pytanie, które ewidentnie wymaga pełnej odpowiedzi, to znaczy, że prawdopodobnie nie chcę jej rozwijać. Rozwijać powinien się Bob. Głupia kukła. Niemożliwe, że to ja jestem drewniany.

– Zapalniczki – informuję zgodnie z prawdą. Bob otwiera usta, z których wydobywa się jakiś skrzek, jednak milknie nagle, a radiowóz zwalnia. Patrzę przed siebie, jak jakaś dziwna kobieta, z daleka przypominająca pacjentkę szpitala psychiatrycznego, szarpie się z furtką. Zaiste, najciekawsze, co zobaczyłem przez ostatnie miesiące. Bob zresztą też, wnioskując po jego reakcji. Chwilę mi zajmuje zrozumienie, na co tak właściwie patrzymy. Na zewnątrz jest minus osiemnaście stopni, a babsko jest w podkoszulku i szortach. Samochód sunie powoli przez najbrzydszą w historii ulicę Piękną, a czym bliżej jesteśmy, tym robi się coraz dziwniej. W końcu udaje jej się otworzyć bramkę. Bosymi stopami wychodzi na chodnik. Bob włącza syreny. Parkujemy tuż obok, a ona nie zatrzymuje się nawet na chwilę. Nie reaguje też w żaden sposób. Wchodzi na ulicę. Obaj z Bobem instynktownie łapiemy za klamki. Wychodzimy z auta i zaczynamy krzyczeć. Słyszę świst, mija nas rozpędzony samochód, pisk opon i zaraz huk.

Całe szczęście kierowca srebrnego Forda miał niesamowity refleks i zdążył wyrzucić maskę w słup.

Stoję jak wryty. Kobieta uparcie brnie przed siebie. Jedyne co zrobiła, to zatkaną uszy dłońmi. Jej stopy i prawa ręka pokryte są krwią. Ubranie ma brudne, jakby wymieszane i wyciągnięte z kompostu, a włosy niechlujnie i nierówno obcięte. Bob krzyczy cały czas, próbując wydostać kierowcę z płonącego wozu. Zastanawiam się, czy wepchnąć go w płomienie, aby zweryfikować jego człowieczeństwo, czy może zatrzymać tą wariatkę. Decyduję się na to drugie. Podbiegam do kobiety, kładę jej swoją rękę na ramieniu, a ona zastyga w miejscu.

Odwraca się. Patrzy, ale nie na mnie, patrzy za mnie. Zerkam za siebie ale nic podejrzanego nie zauważam. Bob wydziera się, że nie może otworzyć drzwi auta, głos mu się łamie. Pot spływa po jego ciele. Bob, Bob, Bob, Bob, wielka, głupia, kukła Bob. Wracam wzrokiem do kobiety. Wzdrygam się, kiedy nasze oczy się spotykają. Ona nie myśli o tym co ja. Moje myśli nie są jej myślami. Czy ona w ogóle myśli? Ma zamglone, zmęczone spojrzenie. Jest młoda. Śmierdzi potem i stęchlizną. Bob gdzieś dzwoni, kierowca dalej siedzi w aucie.

– Co pani robi?! – krzyczę, ogarnąwszy się z pierwszego szoku. – Proszę natychmiast zejść z ulicy!

Dźwięk tłukącego się szkła. Bob zbił szybę auta, słyszę w oddali sygnały radiowozów, ambulansu i cholera wie czego jeszcze. Kobieta odkleja dłonie od skroni, patrzy mi w oczy, jednak mam wrażenie, że wcale mnie nie widzi. Dodatkowo wydaję mi się, że już ją kiedyś spotkałem.

Bob został z ratownikami i resztą oddziału w miejscu wypadku, a ja wraz z dwoma oficerami i kolejnymi sanitariuszami prowadzimy niekontaktujące z rzeczywistością babsko do domu, z którego wyszła. Kobieta jest w fatalnym stanie, ciekawi mnie, co ona czuje. Trzymamy ją delikatnie za ramiona, a ona bez słowa pozwala się kontrolować. Wkurza mnie, bo jestem taki sam. Pozwalam się dominować. Rządzą mną nieznajomi ludzie. W przeciwieństwie do niej, ja nie wyglądam jak zmasakrowana szmaciana lalka. Nie wyglądam. Nie wyglądam. Nie wyglądam, ale nią jestem. Nie wyglądam, ale tak się czuję. Jestem tym, co czuję, nie tym, co prezentuję swoim wyglądem. Już nawet nie jestem z drewna, teraz jestem ze słabego i prującego się materiału. Dom z zewnątrz jest biały, cały. Dach pokryty śniegiem, a cegły białym tynkiem. Wszystko jest białe, tylko ja i ta kobieta jesteśmy brudni. Ona z zewnątrz, a ja wewnątrz. Gdybyśmy byli jedną osobą, bylibyśmy niesamowicie czysti, lub na odwrót. A może ona również jest zniszczona w środku, lub ja na zewnątrz. Być może mam plamę na mundurze, której nie widzę, której nikt nie widzi. Lub widzi, jednak z wiadomych jedynie sobie przyczyn nie chce mnie o tym poinformować. Kto to wie.

Przekraczamy próg domu. Jeden z ratowników zamyka wejście, a wtedy szmaciana lalka odzyskuje kontrolę nad ciałem. Wrywa się gwałtownie, niespodziewanie i zanim ktokolwiek zdąży zareagować uderza otwartą, zakrwawioną dłoń w złotą klamkę.

– Otwarte – mówi stanowczo, kiedy drzwi uchylają się lekko. Odezwała się pierwszy raz i pierwszy raz doznałem wrażenia, że naprawdę mnie widzi. Patrzyła się na mnie. Na mnie, na mnie i tylko na mnie. Czy ona wie, że jesteśmy tacy sami? Podporządkowani jakiejś sile wyższej? Dlatego patrzy tylko na mnie? Myśli, że może

być jak ja? Może i być, ale dlaczego ma to wiedzieć? Nie chcę, aby zdawała sobie z tego sprawę. Nie chcę, aby litowała się nade mną. Nikt nie ma prawa mi współczuć. Nawet ja tego nie robię, bo moje słabości są obrzydliwe i żałosne. Udaję, że ich nie ma, a jednocześnie cały czas o nich myślę i z każdą kolejną sekundą nienawidzę się coraz bardziej. Mam ochotę uderzyć łbem o ścianę. Z rozbitą czaszką ludzie nie będą mnie żałować z powodu mojej żałosnej egzystencji, a dlatego, że mam dziurę w głowie. Wymieniam z towarzyszami porozumiewawcze spojrzenia i wedle życzenia gospodyni, jak zgaduję, nie ingerujemy w otwartość czy zamkniętość domu. Idziemy dalej. Na białych kafelkach rysują się krwawe odciski stóp, ciągnące się przez cały korytarz i schody, prowadzące na półpiętro. Naprzeciwko kuchni jest salon, na którego środku leży zdemolowany telewizor. Rozbity. Raczej nie działa. Wydaję mi się, że nikt poza mną nie zwrócił na to uwagi. Wchodzimy do kuchni.

Ziemia się kręci, świat się porusza, poruszaj się wraz nim. Nie myśl. Trwaj i nie myśl. Rób, co masz robić. Nie zastanawiaj się nad tym. Po prostu trwaj. Jak wszystko i wszyscy. Płyn. Nie patrz za siebie, nie patrz przed siebie. Choć z tym ostatnim może być problem.

– Na obiad zupa pomidorowa z robakami – mówi kobieta, kiedy oficer pyta ją o zaistniałą niecałą godzinę temu sytuację. Siedzi tuż przede mną. Patrzy się na mnie, a mówi do mojego przełożonego. Patrzy na mnie, jak mam nie patrzeć przed siebie, kiedy te obrzydliwe gałki wlepione są tylko i wyłącznie w moją osobę.

– Ktoś wylał wodę na gazetę i zegary – odpowiada na pytanie o jej godność. Zerkam na rozłożony przede mną papier. Wcale nie jest mokry. Tytuł artykułu, znajdujący się na otwartych kartkach jasno daje mi do zrozumienia, kim jest ta kobieta. Widziałem ją tylko raz. Przelotnie z resztą. Było to dwa dni temu, kiedy nie wyglądała jeszcze tak paskudnie. To było dwa dni temu, jak mogła doprowadzić się do takiego stanu?

– Musimy opatrzyć pani rany – informuje jeden z sanitariuszy, a jego ton głosu brzmi wręcz błagalnie. Szmaciana kukła cała się trzęsie. Zauważam to dopiero teraz. Wszyscy już wiedzą, kim ona jest.

– To dom moich rodziców. Gdzie oni są? Kto zamyka drzwi? – pyta, wciąż wpatrując się tylko we mnie. Kłamię. To nie jest dom jej rodziców. Wydaję mi się, że nagłówek z gazety wzbudził więcej kontrowersji niż to, o czym jest. Przyglądam się jej ubraniu. Biała koszulka, przesiąknięta jasno-czerwoną cieczą. Wszędzie ma przyklejone białe, krótkie i podługne coś. Zaglądam do garnka, stojącego zaraz obok mnie. Zupa pomidorowa z robakami.

– To nie są robaki – mówię powoli, patrząc prosto w zdezorientowane oczy kobiety. Jej powieki drgają. – To makaron ryżowy.

– Nic jej nie będzie, to znaczy, poza tym, co dolegało jej już wcześniej – informuje lekarz. Rodzony brat kukły Boba i mój dobry znajomy. – Doznała lekkiego wstrząsu mózgu od uderzenia i podejrzewamy, że po tej... – waha się, odchrząkuje – ...sprawie sprzed dwóch dni doświadczyła PTSD, załamania nerwowego, widoczne są również pierwsze objawy alzheimera i nie wiadomo... – przerywa, widząc zmieszanie na twarzy Vinna, mojego przełożonego, ponownie odchrząkuje – krótko mówiąc, zwariowała.

Doznała lekkiego wstrząsu mózgu. Po tym, jak z pewną niezamierzoną ironią oświadczyłem jej, że w jej zupie nie pływają robaki wstała gwałtownie od stołu i prawie się na mnie rzuciła. Szarpała się z ratownikami, a kiedy zrozumiała, że nie da rady się wyrwać, zrobiła piruet w drugą stronę i uderzyła czołem w parapet. Doznała lekkiego wstrząsu mózgu. Przysięgam, że słyszałem, jak pęka jej czaszka. Zrobiła to, co chciałem zrobić ja. Jeżeli sobie potrafiła zadać taki cios, co zrobiłaby mnie, gdyby nikt jej nie zatrzymał? Przecież byliśmy tacy sami. Poczułem się zdradzony.

– Brawo – rzuca Vinn, patrzy mi prosto w oczy i robi ruch, jakby chciał wyciągnąć papierosa z kieszeni, jednak przypomniał sobie, że w szpitalu nie wolno palić.

Nie odpowiadam. Nie czuję sarkazmu. Nic nie zrobiłem. Jeszcze, bo zaraz ja również doświadczę załamania nerwowego i rozwalę mu łeb o parapet. Obrzydliwy, śmierdzący szpital. Obrzydliwy, śmierdzący Vinn.

– Słuchaj no – ponownie się odzywa.

Nie chcę go słuchać. Nie chcę słuchać niczego. Domyślam się co chce powiedzieć. Potrzebują kozła ofiarnego, którym stanę się ja, ponieważ oświadczyłem strauatyzowanej dwudziestosiedmioletce, że jej zupa jest z makaronem ryżowym zamiast glizd. Trauma. Czym jest trauma? Kto ma ten zaszczyt, aby mówić o swoich ciężkich chwilach i nie zostać przy tym wyśmianym? Kto od kogo nie ma gorzej?

Cierpliwie czekam, aż Vinn powie, co chce powiedzieć, ale on tylko się patrzy. Wiem co mu chodzi po głowie i nie mogę się doczekać, aż mu na to odpowiem. Zaczyna mi latać koło nosa czy mnie za to zwolnią. Zaczynam rozważać, czy nie zrobić tego samodzielnie.

– Wszystko u ciebie w porządku? – pyta w końcu. Głos grzęźnie mi w gardle, przełykam swoje soczyste „pierdol się Vinn” i nie jestem w stanie zrobić nic więcej.

– Chodź zapalić, pogadamy – dodaje po chwili milczenia.

Czy moja życiowa trauma, polegająca na tym, że się urodziłem, może się równać z kobietą, której naćpany brat zabił i obdarł matkę ze skóry, przybił tą skórę pinezkami do ściany, układając kształt człowieka, a następnie zadzwonił po siostrę, aby na jej oczach poderznąć sobie gardło? Dodatkowo jej ojciec powiesił się dwa lata wcześniej, przez co brat, który wcześniej topił smutki w sztuce, teraz zaczął się

odurzać. Ale to bez znaczenia. Tak czy siak, jesteśmy tacy sami. Zepsuci. Przyczyna jest nieistotna.

– Zabroniła nam zamykać drzwi, pamiętasz? – zagaduje Vinn, częstując mnie papierosem. Kiwam głową. Czytałem artykuł na temat tej sprawy „Ostatnie dzieło artysty narkomana”, wiem, do czego pije.

– Podobno kobieta od razu zawiadomiła odpowiednie służby, a później doznała jakiegoś nagłego zamglenia. Wchodząc do domu zamknęła go na klucz. Straciła przytomność i ratownicy nie mogli się dostać do środka. Zanim wyważyli drzwi było za późno. Gdyby nie to, że wejście zostało zamknięte, jej brat mógłby przeżyć.

Czekam, aż Vinn się zaciągnie.

– Najbardziej zraniła ją śmierć brata, podobno byli bardzo blisko, a matki nienawidzili, ponieważ zdradziła ojca, przez co ten się powiesił.

Absurd. Skąd może wiedzieć, co zraniło ją najbardziej? Takie spekulacje może sobie wsadzić. Co najbardziej zraniłoby mnie w takiej sytuacji? Nie mam pojęcia, skąd mam wiedzieć? Przystaje słuchać i przytakuję. Rozglądam się. Wszystko wygląda identycznie, brudno. Ponownie przytakuję. Jak zwykle. Najlepiej się ze wszystkim zgadzać, nie kłócić się. Jest źle, dlaczego miałoby być gorzej? Jak zahamować pogarszającą się sytuację? Nic nie robić. Być posłusznym. Pod czyjąś opieką, nadzorem. Jesteśmy tacy sami. Zniszczeni, kontrolowani. Kontrolowani przez traumy, ludzi. Zmuszeni do życia.

Dane kontaktowe / Contact details:

Ludwika Kaczmarek

Uniwersytet w Siedlcach

E-mail: ikribl@wp.pl